ILUSTROWANY GŁOS NARODU

z dnia 8. Listopada 1902 r.

KILKA SŁÓW
o Wieliczce i jej kopalniach.

przez

Feliksa Piestraka, c. k. zarządcę salinarnego, z ilustracjami **Jana Czerneckiego**.

W niniejszym opisie poruszę w krótkości daty historyczne założenia kopalń i miasta „Wieliczki,“ opierając się przedewszystkiem na dziele Hrdiny w roku 1842 w języku niemieckim wydanem, następnie na opisie dr. Boczkowskiego z r. 1843, na kodeksie dyplomatycznym miasta Wieliczki, monografii E. Windakiewicza, zapiskach St. Larysz Niedzielskiego, planach kopalni Marcina Germana i opisie salin przez Adama Schrötera w języku łacińskim z XVI stulecia pochodzącym.

Jak wiele dat z czasów najdawniejszych, tak i daty odkrycia, względnie założenia żup wielickich, giną w zamierzchłej przeszłości.

Powodem tego były przeróżne wojny, następnie nieznajomość pisania, którą my Polacy odznaczaliśmy się w szczególności — zatracając tem samem to, co obecnie mogło dla nas najcenniejszą stanowić pamiątkę.

I dopiero z dzieła Marcina Kromera „De origine et rebus gestis Polonorum“ dowiadujemy się, że Bochnia w r. 1252, Wieliczka zaś w r. 1253 odkrytą została dzięki pobożności bł. Kunegundy, żony Bolesława Wstydliwego, która przy sposobności odwiedzin swego ojca Beli IV. w Węgrzech, miała rzucić do studni z wodą słoną złoty pierścień, znaleziony następnie w kawałku soli w Bochni.

Że w wieku tym podobne podanie się zrodziło, nic dziwnego, gdyż obfitował on w przeróżne cuda, w które wierzyli potomni i z ust do ust sobie podając, późniejszym przekazali je pisarzom.

Długosz wspomina w księdze VI swego dzieła na stronie 658 o Henryku, do którego żupy wielickie należały, a który umarł w r. 1238, czyli 13 lat wcześniej od daty Marcina Kromera.

Z tego wynika, że daty te nie są pewne, zwłaszcza, iż dwa oryginalne przywileje klasztoru Staniąteckiego, a mianowicie jeden z r. 1232 Konrada Mazowieckiego, drugi z r. 1248 Bolesława V (syna Leszka Białego) nadają temu klasztorowi, pierwszy dwie miary tygodniowo soli warzonej, drugi jeden bałwan soli z kopalni bocheńskiej.

Długosz wspomina prócz tego w księdze VI na str. 531 o założeniu klasztoru Cystersów w r. 1176 w Sulejowie i nadaniu mu deputatu soli, co na znacznie wcześniejsze odkrycie wskazuje.

Oprócz tych danych, zawiera jeszcze dane powstania Wieliczki historja klasztoru Tynieckiego ogłoszona drukiem przez bibljotekarza Stanisława Szczygielskiego w r. 1668, w której jest wzmianka o darowiźnie solnej dla tegoż klasztoru przez Kazimierza I w r. 1044 i wyraźna nazwa „Magnum sal alias Wieliczka“.

W każdym razie można na pewno twierdzić, iż saliny wielickie około 800 lat istnieją, za panowania zaś Bolesława Wstydliwego zostały nie odkryte lecz odnowione, spustoszone poprzednio wojnami i napadami hord tatarskich tak, iż wyludnieniem się kraju i upadkiem przemysłu, upadły także i kopalnie.



WIELICZKA PRZED 80 LATY.

Mit więc o pierścieniu i o Kindze odnosi się raczej do odnowienia, t. j. restytucji, nie zaś do odkrycia Wieliczki.

Miasto samo powstało znacznie później aniżeli kopalnia i obejmowało początkowo obecną część zachodnią, podczas gdy wschodnia, Mierżączką zwana, potokiem Serafą od zachodniej oddzielona, stanowiła dla siebie osobną dzielnicę.

Mierżączka i część zachodnia zostały dopiero za panowania Zygmunta II w jedno miasto złączone, za Kazimierza Wielkiego otoczono je murem i wcielono w szereg sześciu miast, tj. Krakowa, Sącza, Bochni, Olkusza i Kazimierza, opartych na prawie magdeburskiem.

Pierwszymi, którzy mieli założyć Wieliczkę byli bracia Jescho i Hysmbold ze Śląska, którym Henryk (Probus) oddał grunt na wybudowanie miasta, oraz cztery łany pola na paszę dla bydła i pozwolił im na budowę jatek i kramów dla piekarzy i szewców, oraz na budowę łaźni. Prócz tego obdarzył mieszczan różnymi przywilejami, jego zaś brat, Przemysław II, nadał braciom Jescho i Hysmboldowi i ich spadkobiercom w nagrodę położonych zasług wójtostwo (advocatia).

Wójtami wielickimi byli przeważnie znakomici dworzanie królewscy, jak Geslar de Kulpen, Mikołaj Gallicus, Mikołaj Wierzynek i wielu innych.

Wójt wielicki posiadał grunta wójtowskie, pobierał podatek i sól tygodniową z żupy, był wolnym od wszelkich danin i posług, prócz utrzymywania 2-ch żołnierzy, sądził obywateli i jedynie był wobec króla odpowiedzialnym.

Dochodami i zarządem politycznym miasta zawiadowali burmistrze, których po sześciu i piętnastu przez rok urzędowało. Obierał ich corocznie podkomorzy ziemi krakowskiej wraz z administratorem żupy i jeden po drugim przewodniczył kolejno, na znak zaś swego urzędu nosił sygnet, który dopiero w 1809 r. zaginął.

Ci burmistrze pobierali od dawien dawna z żupy po pięć bałwanów rocznie i po pięć miarek soli co kwartał, prócz tego po 16 groszy rocznie oraz 500 zł. na utrzymanie dróg i mostów w mieście.

Najdawniejszym herbem miasta był posułt (młotek) i dwa kilofy żeleźcami ku górze wzniesione, do którego później kobiecą postać z ważkami w ręku na znak sądownictwa dodano, nad oboma zaś godłami unosiła się korona królewska.

Od r. 1809 pieczętuje się miasto białym orłem z królewską koroną w czerwonem polu.

Za Kazimierza Wielkiego zakwitła Wieliczka znakomicie, zwłaszcza, że król ten obdarzył jej mieszczaństwo różnymi przywilejami, nadając mu prawo zakupna soli z pierwszej ręki (prasólstwo) i sprzedawania jej na składzie w Oświęcimie i Krakowie i zastrzegł statutem, by z żupy nikomu, jak tylko przekupniom wielickim i krakowskim soli nie sprzedawano.

To samo odnosiło się do materyałów do salin potrzebnych, które jedynie mieszkańcy Wieliczki dostawiali i wyrabiali.

Dla tem większego zapewnienia korzyści wymienionych, zakazał król Zygmunt August przemieszkiwać żydom w Wieliczce i handel solą prowadzić.

Wśród tak sprzyjających okoliczności rozwi-

jało się miasto, zakupiło na rzecz swoją okoliczne sioła, w r. zaś 1609 wójtostwo wielickie od kanonika krakowskiego Wapowskiego. Odtąd zostawał wójtem zasłużony rajca miejski, magistrat zaś obierał 13 ławników i 2 lonarzy (skarbników), którzy kolejno byli burmistrzami.

Późniejsi królowie potwierdzali przywileje swych poprzedników, Władysław IV zaś uwolnił raz na zawsze mieszczan od postoju żołnierzy, górników zaś od służby wojskowej.

Przy takich przywilejach kwitły wszelkiego rodzaju rzemiosła, obywatele zaś miasta odznaczali się majątkiem i zostawiali po kilka tysięcy dukatów w spuściźnie.

Wydała też i przechowywała Wieliczka ludzi



WIELICZKA DZISIEJSZA.

słynnych z nauki i urzędów, jak: Grzegorza z Sanoka (proboszcza w r. 1440), Kalimacha, Jana Karcawa, Sebastyana Krupkę, Jana z Wieliczki, nauczyciela i mistrza teologii i filozofii w akademii krakowskiej, który zmarł w r. 1599, Jana Gładysza i wielu innych. Co się tyczy samej kopalni, to nie mamy o niej dostatecznych wiadomości, z pierwszych lat jej zawiązku pochodzących, gdyż, jak już wyżej wspomniałem, nie troszczono się zupełnie o zbieranie historycznych zapisków, a przytem dopiero w roku 1334 w zakładzie kopalnianym atrament wprowadzono.

To też z tego dopiero czasu pochodzą pierwsze zapiski, wspominające o administracji salin, o wprowadzeniu i zastosowaniu różnych ulepszeń w kopalni, jak np. wyrabianiu lin z włókna drzewnego, podziale kopalni na dwa pola, podziale robotników na poszczególne klasy według zatrudnienia i oddanie im roboty w dniówkach ugodowych.

W drugiej połowie XIV stulecia było kilku administratorów zarazem dzierżawcami saliny, pośród zaś nich niejaki Leszko, izraelita, i w tych czasach zaczęła się salina chylić ku upadkowi.

Pierwszym Polakiem, o którym historya z uznaniem wspomina, był bezpośrednio po rządach żydowskich administrator Mikołaj Bochnar, później zaś Mikołaj Serafin w drugiej połowie XV w., który obecnie zasypany szyb Saraf pogłębił, maszyny dobywalne udoskonalił i wprowadził wyrób solnych bałwanów.

Wśród zarządców, a równocześnie dzierżawców kopalni, znajdowali się Czesi, Niemcy, Francuzi, Włosi, którzy, już to pojedynczo, już to zbiorowo kopalnią zarządzali i ją dzierżawili.

W połowie XVI stulecia znajdowała się kopalnia w pełnym rozkwicie, dzięki znakomitej administracji Jana Bonnera, pochodzącego z rodziny niemieckiej, osiedlonej w Polsce, którego chwali w szczególności Adam Schröter w swym poemacie „Salinarium Vieliciensium descriptio“ (przekład F. Piestraka).

W tym czasie istniało wiele szybów światowych, jak Lois, Seraf, Regis, Wodna góra, z których Lois i Wodna góra służyły do ciągnienia solanki dla warzelni soli, podczas gdy Seraf i Regis do wydobywania soli odbudowanej.

Do właściwego wyrobu soli utrzymywano przedsiębiorców, zwanych stolnikami, którzy własnych robotników posiadali. Początkowo było ich 60, później 120.

Odbudowa soli polegała na szramowaniu i zbijaniu klinami ław solnych, a zatem analogicznie odbudowie dzisiejszej. Z ław tych, czyli kłapci, wyrabiano następnie różnej wielkości złamki, stosownie do zamówienia.

Największy złamek, 25—30 ówczesnych cetn. posiadający, zwał się bałwanem.

Oprócz tej soli wyrabiano sól cetnarową i beczkową, którą to ostatnią oddawano klasztorom i urzędnikom jako deputat, lub płacono nią zakupywane żelazo dla kopalni potrzebne. Przekrój chodników był kwadratowy i posiadał $4^1/_2$ miary, czyli $157^1/_2$ cala wiedeńskiego wysokości i szerokości. Płaca robotników zależała od długości wykonanych szramów, tak jak i obecnie, przyczem wliczano jeden szram wysokości, jako wynagrodzenie za zbitkę.

Od twardości kamienia zależało wynagrodzenie za 1 b. dm. szrama. Kilofy i kliny kupował górnik z własnych funduszów i tylko ostrzenie górniczych narzędzi pokrywała kopalnia. (C.d.n.)

WŁADZIO
MAŁY MĘCZENNIK
wzięte z życia.

(Dokończenie).

Władzio zawsze leżał na sofie, lub gdy mu było cokolwiek lepiej, co się rzadko zdarzało, klęczał na niej z łokciami opartymi na szczelnie do sofy przysuniętym stole, a głową wspartą na rękach.

Cały świat Władzia leżał przed nim na stole — tu było wszystko co posiadał, wszystkie jego pamiętniki, wszystkie spełnione, Boże jakie skromne życzenia — — tu były jego skarby.

Pamiętam, z jaką dumą posiadacza pokazywał mi je po raz pierwszy — jak je wyjmował z pudełek i napowrót składał, co mu dość trudno przychodziło, bo niemó 1 równocześnie władać obu rączynami. Musiał się bowiem zawsze opierać, choć na jednym łokciu, gdyż ciężaru ciała nie mogły dźwigać same biedne chore kolana, na których klęczał.

Trzeba było widzieć jego radość, kiedy rozkładał przedemną te swoje skarby — a były to różne drobiazgi otrzymane częścią przez Janowę, przy robieniu porządków, kiedy się każdy z chęcią pozbywa starych nadtłuczonych, zepsutych grac ków — częścią z rzeczy wprost wyrzuconych na śmietnik, z którego je biedna matka, mając ten śmietnik naprzeciw swej izby, podnosiła i oczyściwszy niosła z tryumfem do dziecka, wiedząc, jak je byle czem ucieszyć można.

Ulubionemi rzeczami w tym skarbczyku Władzia były: figurka Niepokalanego Poczęcia z nadtłuczonemi rękami — książka do nabożeństwa, a w niej kilka obrazków — kalamarzyk — loteryjka — piórnik — stara talia kart — kilka ołowianych żołnierzy — domino — różne pudełka, pudeleczka, słoiki, flaszeczki i tp. rzeczy.

Odtąd zbierałem skrzętnie w domu wszystko, co było niepotrzebne lub na wyrzucenie skazane. Nie zapomnę nigdy, jaki był zawsze szczęśliwy, kiedym przynosił pudełko pełne takich zebranych gracików. Jak mi dziękował, jak wyjmując oglądał na wszystkie strony, każdą rzecz z osobna wołając radośnie:

— „Jakie to ładne!“ lub: „to tu postawię, a to tam — to dam mamie, a to Józiowi“.

Józio był to zdrowy tęgi chłopczyk, który mieszkał u Janowej i sypiał na skrzyni pod oknem. Był tu oddany przez matkę, która służyła na wsi, i bardzo nieakuratnie płaciła za dziecko. Janowa mimo tego trzymała Józia, bo jak mówiła: — „Władzio go lubi“.

Istotnie, to chore, niedołężne biedactwo wodziło oczami za ruchliwym chłopcem, który już chodził do szkoły, skąd wracał zarumieniony, wesół, mając zawsze coś do opowiadania, co Władzia bawiło i rozweselało. — On, który tak chętnie chodził do szkoły, i tak cierpiał nad tem, że się nie mógł uczyć, chwytał chciwie każdą wiadomość, którą ze szkoły przynosił Józio. Wypytywał się o profesorów, co i jak wykładają, a ponieważ umiał więcej od Józia, więc mu pomagał. Był jego korepetytorem z przyjemności.

Ten biedny Lazarz, będący od tak dawna na łasce drugich, nie mogący o własnej sile przewrócić się z boku na bok, był niesłychanie rad i dumny, kiedy Józio pokazując mu swoje zeszyty, pytał, „Czy dobrze?“ — a on mu wskazywał błędy, lub wysłuchiwał zadanej lekcji.

* *

Ileż myśli musiało przechodzić przez główkę tego dziecka, spędzającego prawie cały dzień na czytaniu, a którego życie skupiało się w obrębie tej ciasnej izby przepełnionej parą i zapachem mydlin.

Ileż razy kontrast między tem co czytał, a tem na co patrzał — między bohaterem, którego autor przedstawiał pięknym, silnym, zdrowym, bogatym, a między nim, takim słabym, chorym i biednym, musiał myśli jego streszczać w pytanie: “Dlaczego?“

Że takie one nieraz były te myśli Władzia, o tem przekonałem się przy następującej okoliczności.

Córeczka mojej znajomej — osoby majętnej — śliczne i bardzo kochane pięcioletnie dziecko, umarła. Odwiedzając Władzia opowiadałem mu o chorobie małej Dzidzi, o rozpaczy jej rodziców. Opowiadaniu memu przysłuchiwała się i Janowa. Wtedy Władzio milczał — ale kiedy matka wyszła za chwilę, Władzio — a miał wtedy lat dwanaście — zwrócił się do mnie mówiąc:

— „Niech mi pan powie, dlaczego takie zdrowe, szczęśliwe dzieci umierają, a taki biedak jak ja żyje?“

Znalazłem się w nader trudnem położeniu — bo nieraz sam, rozmyślając nad dolą tego dziecka, zadawałem sobie pytanie:

— „Za co? Dlaczego to dziecko tak strasznie cierpi?

To też westchnąwszy o pomoc Ducha Świętego, zacząłem mówić, i mówiłem lepiej niż to tu opisać zdołam, o niezrozumiałych dla nas wyrokach bożych, o tem, że Bóg swoim wybranym najwięcej cierpieć każe, żeby ich też najprędzej mógz wynagrodzić — że każda łza, każdy ból, każda krzywda, którą nam kto wyrządzi, każde cierpienie znoszone z taką cierpliwością i pokorą, z jaką on je znosi, będą policzone, że mu Bóg za nie gotuje takie szczęście o jakiem wyobrażenia mieć nie możemy.

Był bardzo nabożny i głęboko wierzący — to też słuchał chciwie, a kiedym skończył, rzekł:

— „Dziękuję panu, to dobrze taką rzecz usłyszeć — bo czasami myślę, dlaczego inni zdrowi, a ja zawsze, zawsze chory i zazdroszczę zdrowym... albo tym, co umierają... Takbym rad umrzeć, przestałbym cierpieć — żal mi tylko matki, onaby za mną bardzo tęskniła“.

— „Dziecko — odrzekłem — nie trzeba tracić nadziei, możesz jeszcze być zdrów“.

Mówiąc to jednak myślałem, że trzebaby cudu, żeby to biedactwo mogło kiedy być zdrowe.

Władzio uśmiechnął się niedowierzająco.

* *

Przez parę tygodni nie byłem u Władzia, ale w wigilję św. Mikołaja wieczorem przypomniałem sobie, że Władzio marzył od dawna o posiadaniu takiego św. Mikołaja, jakich pełno sprzedają na Małym Rynku. Poszedłem tam, żeby spełnić życzenie chłopca. Wybrałem wspaniały okaz z długą siwą brodą, a nakupiwszy przytem jabłek i pierników, stanąłem wkrótce we drzwiach izdebki stróżki.

Na pierwszy rzut oka spostrzegłem, że coś niezwykłego się dzieje. Władzio nie leżał na kanapie, tylko na łóżku matki, jak zwykle, kiedy był słabszy. Miał silną gorączkę i ciężki oddech — nowo nabierające wrzody męczyły go okropnie. Zdawało się, że dogorywa.

Stanąłem obok łóżka z moim św. Mikołajem i paczkami. Władzio popatrzył na mnie i siląc się na uśmiech, wyszeptał ochrypłym, przytłumionym głosem:

— „Jaki pan dobry — jaki św. Mikołaj ładny, proszę go tu postawić na stole, tak, żebym go widział... Ja dziś bardzo chory“ — dokończył nie mogąc już dłużej mówić.

Janowa kiwnęła na mnie z za szafy dając znać, że mi ma coś do powiedzenia. Obróciłem się w tę stronę.

— „Proszę łaski pana — rzekła cicho Janowa — on okrutnie chory i chce się koniecznie spowiadać, a ja się nie mogę od niego ruszyć, boby się zadusił, ciągle mu głowę podtrzymywać muszę, po księdza posłać nie mam kogo“.

— „Pobiegnę“ — wyszepnąłem, i za chwilę istotnie biegłem do Kapucynów.

Kościół był prawie pusty, bo to był już wieczór, tylko przy konfesjonale O. Wacława klęczała jeszcze penitentka.

Stanąłem opodal. Wkrótce spowiedź się skończyła. Ojciec Wacław powstał i zwolna szedł ku zakrystji.

Poszedłem tam i ja za tą wysoką, trochę zgarbioną postacią. Usłyszawszy za sobą kroki, przystanął, obrócił się, a zwracając ku mnie łagodną twarz, zdobną w długą siwą brodę i smutne niebieskie oczy, spytał:

— „Czem mogę służyć?“

Odpowiedziałem śpiesznie:

— „Bardzo chory chłopczyk pragnie spowiedzi“.

— „Zaraz idę“ — odparł dziwnie miękkim głosem.

Za chwilę szliśmy razem do chorego.

Przez drogę milczał, zadawszy mi tylko jedno pytanie:

— Czy bardzo cierpi?“

— „Bardzo“ — odparłem.

Westchnął i widocznie modlił się.

Doprowadziłem go do drzwi izdebki i odszedłem.

* *

Na drugi dzień wstawszy wcześniej niż zwykle, podążyłem do Janowej.

W sieni domu spotkałem młodego doktora, który trochę z litości, a więcej z ciekawości leczył Władzia, odwiedzając go od czasu do czasu.

Spytałem o chorego.

— „Żyje — była odpowiedź — ale to już początek końca“.

— „Jak długo jeszcze żyć może? — spytałem. — Najdłużej, jakie trzy tygodnie“.

— „Nie dłużej?“ — rzekłem zafrasowany tą wiadomością, bom właśnie miał jechać nazajutrz na kilka tygodni.

— „Nie, cały organizm zniszczony chorobą, i tak dziwnie długo wytrzymał“.

Pożegnałem doktora i poszedłem do Władzia. Zastałem go lepiej niż wczoraj; wzrok miał prawie wesoły. Janowa opowiadała mi, jak spowiedź ucieszyła Władzia — jak się od tej chwili uczuł lepiej.

Biedny kaleka potakiwał lekkiem skinieniem głowy, i patrząc na mnie z wdzięcznością powtarzał:

— „Dziękuję panu, bardzo dziękuję za św. Mikołaja, taki śliczny, i za pierniki i jabłka“.

— „Cieszę się, żeś zdrowszy, zwłaszcza, że muszę wyjechać, i przyszedłem pożegnać się z tobą. Bądź-że zdrów mój Władziu i nie martw matki“.

— „Dobrze — odparł cicho — będę się starał być zdrowym i wesołym dla mamy, ale pan niedługo wróci, prawda?“

— „Będę się spieszył, zawsze jednak zabawię kilka tygodni. Do widzenia mój chłopcze“.

— „Do widzenia — odparł — ale proszę odwiedzić mnie zaraz jak pan wróci“.

— „Przyrzekam, że zaraz przyjdę do ciebie, jak tylko przyjadę — odpowiedziałem, myśląc jednak ze smutkiem, bom się bardzo do niego przywiązał, że go odwiedzę.. ale już pewnie na cmentarzu. — Przyrzekam — powtórzyłem — a teraz bądź zdrów“.

— „Do widzenia“ — rzekł Władzio.

Bardzo wzruszony pocałowałem chłopca w czoło i odszedłem. Jak zwykle wyszła za mną Janowa.

— „Proszę pana, a co też mówił doktór? — spytała.

— „Ot, jak to oni, sam dobrze nie wie“ — odparłem.

— „Pewnie powiedział coś złego, kiedy pan nie powtarza — ale Bóg da, że się moje dziecko jeszcze z tego wygramoli. Zniesie i to — mało to już zniósł, Boże miłosierny, aż strach pomyśleć, ile ten robaczek się nacierpi i to za cudze grzechy panie — za cudze. Bo co taka bieda zawiniła, że się tak męczy na tym bożym świecie. Musi to chyba za kogoś pokutować, boć przecie nie za siebie. A na darmoćby ta przecie Bóg tego nie chciał, ale musi wiedzieć co robi, kiedy On Bóg, a my panie, Jego marne sługi, to też należy znieść pokornie to boskie postanowienie. Tylko, że serce matczyne krwawi się, proszę pana, patrząc lata całe, jak ten biedak cierpi okrutnie. A takie to ciche, cierpliwe, aż aż dziw. A jaki panie, nabożny. Pan, proszę pana, wie, że ten duży krzyż co go mu pan darował, żeby go sobie powiesił na ścianie, ten metalowy, to on go sobie zawiesił na szyi pod kaftanem. Kiedy go dziś doktór badał i krzyż zobaczył, to mówi:

— „A zdejmże go, bo ci cięży i piersi ugniata — a on proszę pana odpowiedział na to tak pięknie, że aż serce rosło:

— „Choćby też najbardziej ciężył i ugniatał, to go nie zdejmę“.

— „Doktór się uśmiechnął, bo to podobno proszę łaski pana, jakaś niewiara w nim siedzi, a ja rada byłam, że Władzio tak odpowiedział. Niechaj wie, że chłopiec nie żaden luter, ale boską wiarę wyznaje“.

Uśmiechnąłem się i ja z tej wymowy Janowej, która przerwawszy nagle swoje żale, gdyśmy dochodzili do połowy ciemnej sieni, zawołała, jak zwykle:

— „Proszę pana, próg!“

— „A prawda, próg“ — odpowiedziałem jak zwykle. Po co on tu jest — dlaczego?

Było to miejsce, do którego odprowadzała mnie zwykle Janowa, troskliwa o moją całość, poczem widząc, żem go szczęśliwie minął, żegnała, całując w rękę.

Dziś życzyła szczęśliwej podróży — ja zaś życzyłem jej, żeby się Władziowi polepszyło — i rozstaliśmy się.

* *

Wróciłem za miesiąc, w ciągu którego często bardzo myśl moja wędrowała do ciasnej izdebki. Wyobrażałem sobie, jak to tam musi teraz wyglądać, bez niego — co robi poczciwa Janowa, czy zawsze stoi nad balją lub przy desce od prasowania.

Na dworcu czekał na mnie stary Piotr, ucieszony z mego powrotu, jak gdybym wracał z Afryki lub Chin. Kiedyśmy jechali do domu, zwrócił się naraz z kozła, na którym siedział, mówiąc:

— „Proszę panicza, bo to wczoraj była u nas Janowa i pytała o panicza, bo jej chłopiec strasznie, jak mówi, cni się bez panicza“.

— „Więc Władzio żyje“ — zawołałem uradowany, choć Bogiem i prawdą nie było się czego radować, ze względu na to męczące się biedactwo, i to męczące się bez możebności wyleczenia“.

— „A żyje — odparł Piotr — i podobno zdrowszy niż przed tą ostatnią chorobą“.

* * *

Doktór się pomylił, chłopiec żył i żył. Żył jeszcze lata całe. Lata, przeplatane chwilami ulgi, po których następowały straszne męki. Męczyła skurczona sucha noga, męczył garb, męczył ciężki kaszel, męczyły różne bóle i dolegliwości, które trudno wyliczać.

Przez jedno lato czuł się nieco silniejszy. Korzystając z tego, matka wsadzała tego, wówczas czternastoletniego chłopca do dziecinnego wózka, aż nadto dlań obszernego, i wiozła na planty. Parę razy przywiozła go przed mój dom, i chłopiec cieszył się bardzo, widząc mnie na balkonie. To się nazywało, że mnie odwiedził.

Kilka tych spacerów było dlań, jakoby jakieś wymarzone przez innych podróże, opowiadał o nich całą zimę. Opowiadał ile widział nowych gmachów. Jaki to piękny ten nowo wybudowany teatr, jakie na plantach śliczne klomby, piękne kwiaty i trawniki. Jakie w mieście wielkie sklepy z dużemi szybami, przez które widać tyle pięknych rzeczy.

To było jedyne lato w ciągu tych kilku lat, w które można go było trochę wywozić na spacer.

* * *

Nastała jesień, w której odwiedzałem go często. Miewał projekta. Zastałem go raz bardzo ożywionego. Myślał, jakby coś zarobić, żeby dopomódz matce.

— „Słyszałem, proszę pana, że ci co zbierają marki, mogą dobrze je sprzedać. Takbym chciał módz zbierać marki. Będę je gatunkami układał w paczki po sto, a takich dziesięć paczek znów razem zwiążę to będzie tysiąc. Czy ja za to dużo dostanę?“ — pytał ciekawie.

Nie chciałem odbierać mu złudzenia, mówiąc, że bardzo mało co za to dostać można, ale obiecałem przynosić mu marki, a następnie zająć się ich sprzedażą.

Stałem się wielkim zbieraczem marek, zbierałem gdzie mogłem u znajomych, i Władzio doszedł wkrótce do wymarzonej tysiączki.

Z jakiem przejęciem układał, liczył i z trudnością wiązał te zbierane setki, bo głównie jedną ręką mógł coś robić, będąc zwykle oparty na drugiej. Jakże rozradowaną była jego twarz, kiedy mi z dumą podał większą paczkę, mówiąc:

— „Proszę pana, już ich tu jest tysiąc“.

— „Już?“ — pytałem jakby niedowierzając.

— „A już, już, niech pan patrzy“ — i rozerwawszy paczkę, wskazał rozlatujące się dziesięć mniejszych.

— „Dziesięć po sto, więc tysiąc“.

— „Prawda, prawda — no, no, to teraz muszę iść je sprzedać. Jutro w południe przyniosę pieniądze“.

— „Proszę pana, a czy tylko kupią, czy kupią? I ile dadzą?“

— „Zobaczymy, postaram się, żeby dali jaknajwięcej“.

Marki zaniosłem do domu, a na drugi dzień przyniosłem Władziowi koronę.

Boże! co to była za radość, ile projektów, ile szczęścia z tej małej białej monety. Wypytywał bardzo ciekawie kto marki kupił — odpowiedziałem, że ktoś z moich znajomych, i że znów uda nam się zebrać wkrótce nową tysiączkę.

I ta sama tysiączka zaczęła wędrować do uradowanego Władzia, a od Władzia do mnie. Rozwijałem naturalnie paczkę, mieszałem, dodawałem nowych marek i tak po trochu znosiłem choremu, który je znów zbierał, układał, wiązał setka po setce, aż urosła tysiączka, którą brałem z powagą agenta domu handlowego.

Władzio wpatrywał się we mnie, jakby pytając: „Czy się też i tym razem uda“ — odpowiadałem zwykle na to nieme pytanie:

— „Postaram się wetknąć i te marki tej samej osobie, która kupowała poprzednie“.

I tak handlowaliśmy temi markami, póki Władziowi sił starczyło — ale przyszła chwila — a było to tego samego roku na wiosnę, że i takie zajęcie było nad jego siły.

Nowe wrzody zaczęły boleśnie nabierać, przyszła silna gorączka, zaczął ogromnie puchnąć. Stał się wprost monstrualny. Tylko inteligentna twarzyczka pozostała szczupłą i jakby uduchowioną. Chłopiec rozumiał swój stan, czuł, że umiera. Miał wówczas lat piętnaście.

* *

Wieść o tej nędzy ludzkiej poszła między ludzi, to też w tych ostatnich tygodniach życia swego Władzio był otoczony troskliwą opieką osób miłosiernych. Szczególniej jedna z pań — osoba wielkiego majątku, lecz jeszcze większego serca, która sama przebyła ciężkie, długie lata przy chorym jedynaku, straciwszy go, koiła boleść swoją niosąc ulgę bliźnim. Pani ta zajęła się bardzo Władziem i otoczyła tego istnego męczennika, możliwą w takich razach wygodą.

Pookładano miękkiemi poduszkami to poranione ciało, odświeżono duszną izbę, w której tak bardzo było brak powietrza tym słabo pracującym płucom, wyniesiono balję, dawano stare wino i pożywne pokarmy. Zakonnica pomagała Janowej odwracać co chwila chorego, który literalnie nie wiedział jak ma leżeć, taki był cały obolały i co raz bardziej spuchnięty.

Co tylko, dwa razy dziennie przychodzący doktór radził, dla ulżenia cierpień, wszystko robiono, nie zapominając i o duszy.

Władzio gasnącym wzrokiem śledził ten niezwykły ruch wkoło siebie, te obce mu dotąd osoby pochylone nad nim troskliwie.

Tę smutną, łagodną postać ciemno ubranej kobiety, podobnej do tych poważnych matron, które w czytanych przez niego powieściach, zapełniały wspaniałe królewskie komnaty.

Wiedząc o rozciągniętej nad Władziem opiece, nie zachodziłem tam od pewnego czasu, wywołując tylko Józia, który zawsze mieszkał u Janowej i coraz bardziej stawał się jakby drugim jej synem, bo rodzona matka zapomniała o nim zupełnie, wyjechawszy gdzieś daleko.

Józio z serdecznym żalem mówił, że Władzio bardzo, bardzo chory, że już nic prawie nie mówi.

Pewnego dnia jednak powiedział mi, że Władzio bardzo się o mnie pytał i prosił, żebym do niego przyszedł. Józio więc nalegał, żebym koniecznie wszedł do izby.

Wszedłem onieśmielony trochę widokiem osób, znanych mi wprawdzie, lecz właśnie dlatego znaj-



GRONO NAUCZYCIELEK Z KURSU KWALIFIKCYJNEGO INSPEKTORA PALLANA,
zwiedzających kopalnie wielickie.

dując się w nieco trudnej wobec nich sytuacji.

Przywitany bardzo życzliwie, stanąłem na boku — Władzio drzemał — za chwilę jednak otworzył oczy i spojrzał wkoło. Zobaczył mnie, i ku wielkiemu zdumieniu obecnych, ten nieprzytomny prawie, i na wszystko już prawie obojętny umierający chłopiec, wyciągnął ku mnie obie ręce, mówiąc dość silnym głosem:

— „Ach, to pan! nareszcie pana widzę. Ja ciągle o panu myślałem i doczekać się nie mogłem“.

— „Bałem się przeszkadzać, mój Władziu, a dopomódz już nie było potrzeba. Taką masz teraz dobrą opiekę“.

— „O tak, panie, to dla mamy Bóg zesłał taką pomoc i pociechę, a mnie lżej będzie umierać, bo ja wiem, że umieram, i dlatego chciałem pana widzieć, żeby panu powiedzieć, że ja pamiętam i wdzięczny jestem za każde pana odwiedziny przez tyle lat, za każde dobre słowo, każdą przyniesioną książkę, za każdą rozmowę. Pamiętam te zbierane przez pana rzeczy, które mnie tak cieszyły, i św. Mikołaja i marki, i tyle, dobroci i chciałem... podziękować za każdą pociechę, za każdą pomoc... za wszystko... boś pan był... taki... taki... bardzo... d-o-b-r-y...

Zmęczony umilkł — tylko ręce jego pozostały w moich, a z oczów wpatrzonych we mnie stoczyły się dwie wielkie łzy.

. . . .

To było nasze ostatnie widzenie się, nasze pożegnanie.

Umarł nad ranem. *Aliquis.*

Kraj lat dziecinnych.

(Ciąg dalszy).

III.

W opisie służbowym („formularnym spisku“) stanu nauczycielskiego w Kownie z roku 1821 pod nazwiskiem Adama Mickiewicza w rubryce: „Czy żonaty? Ile dzieci?“, zanotowano: „żonaty, dzieci nie mają“. Czy mimowolna to pomyłka urzędnika w przepisywaniu z brulionu, czy błędna informacja — jakkolwiekbądź notatka ta na ironją zakrawa. — Gustaw żonaty!

Lata nauczycielskie zbiegły się z najboleśniejszym w życiu jego zawodem sercowym. Dzieje tej smutnej, beznadziejnej miłości znane są na pozór do najdrobniejszych szczegółów, a przecież jakże mało, jak niedokładnie znaną nam jest sama heroina. Ileż najsprzeczniejszych sądów krąży o Maryli! Czy kochała szczerze? Jak mogła, kochając poetę, oddać rękę innemu? A potem? Życie panieńskie po ślubie przez lat kilka czy nie dowodziło miłości wielkiej dla Mickiewicza? Więc poczóż ślub, niemiły sercu? Ileż na pozór zawiłości i jaki twardy do zgryzienia orzech psychologiczny! Sądzę, że, aby zrozumieć tę miłość, trzeba na chwilę zapomnieć o dzisiejszym sposobie kochania się i flirtów, a przenieść się duszą w one odległe lata i owoczesne społeczeństwo. Czasy to były niedobre. W nowogrodzkich stronach łamał się stary rzeczy porządek z nowym, nieokreślonym jeszcze i luźnym, a zwłaszcza rozluźniającym obyczaje. W zaściankach drobna szlachta wiodła dawny, prosty tryb życia — ale po dworach większych panowało życie bez myśli i bez troski ani o to, co przeszło, ani o to, co przyjść mogło. Licznie i gęsto rozkwaterowane wojska wnosiły swój sposób życia. Panny lgnęły do pięknych mundurów oficerskich; uwodzenia i uwożenia z domów obywatelskich, kończące się koniecznym ślubem, nie należały do rzeczy wyjątkowych, a kto chce mieć pojęcie o tem, jak się to praktykowało, ten niech odczyta nudną, źle napisaną, ale obyczajowo wierną „Powieść z czasu mojego, czyli Przygody Litewskie“ (Poznań, 1858), która właśnie Nowogrodzki powiat i czasy 1812 roku opisuje. Żyjący świadkowie, ci, co mogą dzieciństwem swem zasięgnąć lat owych, lub im najbliższych, potwierdzają w zupełności, że tak właśnie było. Ton panował u góry kosmopolityczny, francuszczyzna panoszyła się, poczucie obowiązków społecznych zamierało, a po wytężeniu 1812 roku prostracja i bezmyślne życie nad stan krzewiło się spokojnie. Na takiem tle odbijała dziwnie uroczo Maryla Wereszczakówna; jej zapał dla wszystkiego, co swojskie, jej inne, całkiem poważne, pojmowanie życia i wykształcenie niepospolite sprawiały, że wśród najświetniejszego zebrania, ona, nie pociągająca wdziękiem urody niewieściej, przykuwała do siebie czarem ujmującej rozmowy. Zetknięcie się tak bogatej duszy z filaretami, a zwłaszcza z ich przewódcą, Zanem, tylko na dobre wyjść mogło Maryli. Z natury skłonna była nie do czczych, sentymentalnych rojeń (o co ją, niestety, dziś tak często posądzają), ale do działania. A że młodzież uniwersytecka wileńska garnęła się do szerszej pracy, że taki Czeczot np. żył tylko nadzieją uspołecznienia ludu białoruskiego i widział w tem od lat chłopięcych niemal cel życia — więc nic dziwnego, że filareci zjednali rychło Marylę dla swych idei, że po niej spodziewali się jak najzbawienniejszego wpływu na te warstwy, do których sami dotrzeć nie mogli. Na tem tle wspólnych ideałów zawiązał się rychło przepiękny stosunek dwojga dusz promienistych i promieniejących. Maryla widziała zrazu w młodym studencie Uniwersytetu natchnionego piewcę haseł T. Zana, on w niej sojusznicę sprawy. Tak to rozumieli starsi, tak bracia Maryli, tak jej narzeczony. A młodzi po niewczasie opatrzyli się, że są jakby dla siebie stworzeni:

Postawą sobie bliscy, jednostajni wiekiem,
Ten sam powab we wszystkiem, to samo niechcenie,
Też same w myślach składnie i w czuciach płomienie.

Zupełne zaufanie do własnych sił i zasobów moralnych pozwalało przedłużać z roku na rok ten łańcuch, który się „rozciągał“, ale „nie pękał“. Maryla mogła się łudzić, że oboje, wyrzekłszy się szczęścia ziemskiego, poświęcą się całkiem sprawie, droższej nad „szczęście w domu“. Było to złudzeniem duszy młodej, złudzeniem szlachetnem. Nie było złudzeniem jej przeczucie. Przeczuła ona skarby tego wielkiego serca, które miało za miljony ukochać, i powiedziała sobie, że serca tego zabierać nie ma prawa. Gustaw narzeka:

Słyszałem od niej słówek pięknobrzmiących wiele,
Ojczyzna i nauki, — sława, przyjaciele!

Gustaw mógł zapewniać, że teraz „ten groch całkiem od ściany odpada“ — ale przyszedł czas, kiedy Konrad ironji Gustawowej zaprzeczył, zamarzył o „tryumfie Milcyada“ i „objął w ramiona wszystkie przeszłe i przyszłe pokolenia...“

Już Gustaw, w spokojniejszej chwili, składał hołd prawdzie:

I jakież są jej grzechy?
Czyli mię słówkiem dwuznacznem podwiodła?
Czy wabiącemi łowiła uśmiechy?
Albo kłamliwe układała lica?
I gdzież są jej przysięgi? Jakie obietnice?
Miałem-że od niej choć przez sen nadzieję?
Nie! nie! sam urojone żywiłem mamidła,
Sam przyprawiłem jady, od których szaleję!

A Konrad ukorzy się z czasem przed wielką ofiarą Maryli, oceni to, że się wyrzekła szczęścia w domu i napisze do wspólnego powiernika, Domeyki, z Poznania 1832 roku: „Nie będziemy już nigdy widzieć się z sobą. Ale powiedz jej, że ona zawsze ma w sercu mojem miejsce, z którego nikt jej nigdy nie usunął i gdzie jej nikt nie zastąpi“.

Do obojga stosują się te wspaniałe wiersze:

Młodości! Jakże wielkie twe ofiary!
Jam miłość, szczęście, jam niebo za młodu
Umiał poświęcić...

Czem był dla Maryli Adam, ledwo się domyślać można z kilku jej listów, ostrożnych, w obawie przejęcia pisanych, gdzie rzadko tylko wielkie uczucie słówkiem małem się zdradzi. Ale jest fakt, na pozór błahy, a tak rzewny! W późnych swych latach miała pani Marja Puttkamerowa przy sobie siostrzenicę rodzoną, córkę brata swego, Józefa Wereszczaki, dzisiejszą panią Cywińską. Jej to opowiadała nieraz staruszka o filareckich czasach; razu pewnego, porwana wspomnieniami młodości, wydobyła Maryla z ukrycia i pokazała siostrzenicy białą, muślinową, dawną swą sukienkę... Chowała ją jak relikwię: w niej ostatni raz widziała Adama Mickiewicza, gdy opuszczał na zawsze Litwę!

Dziś jeszcze, po latach tylu, ta wielka miłość szlachetna, czysta, wzniosła, takim jest owiana urokiem, tak silnie promienieje, że do Tuchanowic spieszą starzy i młodzi, by odetchnąć na chwilę tamtą atmosferą i przeżyć górnie bodaj chwilkę. I nikt nie doznaje zawodu:

Jej pełne dotąd jeszcze wszystkie okolice:
Tu po raz pierwszy boskie obaczyłem lice,
Tu mnie pierwszej rozmowy uczciła wyrazem,
Tutaj na wzgórku Russa czytaliśmy razem,
Altankę jej pod temi uwiązałem chłody.
Z tych lasów przynosiłem kwiateczki, jagody,
Z tych zdrojów, stojąc przy mnie, wywabiała wędką
Srebrnopiórego karpia, pstrąga z krasną cętką...

Tuhanowicki dwór, gościnny po staremu, i oficyna, gdzie mieszkali w lecie Zan, Czeczot i Mickiewicz znane są z albumów i widoków, świeżo wydanych. Ale czego żadna fototypia nie odtworzy, to prześlicznego parku, który po prawej stronie dworu się rozciąga. Stuletnie dęby, wiekowe lipy panują tu młodszym brzozom, grabom i akacjom. Nie jedno się zmieniło w tym parku; od kilkudziesięciu lat niema już owej „długiej ulicy“, w której Maryla znikła „na kształt błyskawicy“. Ścięto „ulicę“ w nieobecności właściciela, źle zrozumiawszy jego polecenie. Inna powstała, w innem miejscu „ulica“. Olbrzymie kobierce łąk o bujnych trawach, ujęte są wzgórzami, które wydają się wyższe, bo starodrzewem porosłe. Charakterystyczną cechą olbrzymiego ogrodu są właśnie te wzgórza, malowniczo rozrzucone. Na jednem z nich para kochanków „Nową Heloizę“ czytała. W noc księżycową, przy współdziałaniu mgły i srobrzystego blasku miesiąca, park cały wyglądał jak marzenie:

Cała ziemia kroplistą połyskała rosą.
Doliny mgła odziewa...
Spojrzę, na dół, na szpaler, patrz, tam przy altanie
Ujrzałem ją niespodzianie.
Suknią między ciemnemi bielejąca drzewy,
Stała w miejscu, grobowej podobna kolumnie.

Słynna altana, bardzo blizka dworu, z widokiem na okno pokoju Maryli, była wówczas zapewne bardziej widna ze wzgórza w parku, mniejsza na pozór, skromniejsza. „Altanką“ zwie ją gdzieindziej poeta. Była jego „szczęścia kolebką i grobem“. Tu poznał, tu pożegnał. Dwanaście lip tworzyło okrąg szczupły, zaledwie dostateczny na pomieszczenie ławki. Zaciszne tu i błogo. Z uszanowaniem zbliżamy się do tej altany, pamiętnej w dziejach poezyi polskiej. Czas, co tyle ruin potworzył, uszanował to miejsce, uczcił je i ozdobił. Lat już ośmdziesiąt przepłynęło nad temi lipami. Rozrosły się one, niekrępowane niczem, swobodne; jedne przegięły się aż ku ziemi, inne wysoko wystrzeliły smukłemi gałęziami, hen ku niebu, tworząc z całości jakby kolosalny bukiet lip. Najwspanialszy to pomnik, jaki przyroda litewska położyła tu, na grobowcu wielkiej miłości. Olbrzymie mauzoleum zieleni. Bukiet lip wonny, kwitnący, ożywiony przytłumionym brzękiem pszczół, rojnie szemrzących w pracy. Miód stąd chyba najsłodszy na tej ziemi...

IV.

Tuhanowicze nie tworzą w Nowogródzkiem bynajmniej wyjątku pod względem piękności przyrody. Całe Nowogródzkie pełne jest uroczych krajobrazów. Ziemia to pagórków leśnych, ziemia łąk zielonych, o takiem bogactwie i rozmaitości widoków, że nawet oko, znarowione zagranicznemi, osławionemi z nadzwyczajności miejscami, znajdzie tu czem wzrok popieścić i zachwycić. Domejko jeszcze w czterdzieści lat po wyjeździe z Litwy miał w sercu i oku te strony, i świetnie je scharakteryzował w liście do Bohdana Zaleskiego: „Ledwo wyjedziesz z Nowogródka ku Koreliczom, Szczorsom i Mirowi, otwierają się we wszystkich kierunkach wzgórza i zwolna podnoszące się i zniżające pola, przyozdobione miejscami w dębowe i brzozowe gaje. Co kilka mil schodzisz na szerokie, zielone łąki, wygony, sianożęcia, po których środkiem, jak okiem zajrzysz, wiją się srebrzyste rzeki i ruczaje, a po brzegach ciągną się długie wsi i i zaścianki, sznury naszych nieoszacowanych pereł. Od każdej wsi spuszczają się ku sianożęciom warzywne ogrody sielskie, wiśniowemi drzewami ocienione, a nad wsią górują uprawne poletki, żółte, płowe, zielone, zmieniające barwę według pory roku. Opodal ujrzysz kościołek na wzgórzu, karczmę, wiatrak i dwór szlachecki z lipowym szpalerem i topolami wysadzaną drogą“. — Odrębność krajobrazów jest zdumiewająca. Na przestrzeni kilkudziesięciu wiorst coraz to inny charakter widoków. Na północo-wschód od Nowogródka, w pobliskiej Horodziłówce i Horodecznej, p. Zygmunta Kiersnowskiego, mamy falisty krajobraz, jakby żywcem wyjęty z kantonu Wodejskiego, lub Fryburskiego. Wązka, lecz bystra rzeczułka wije się tu wężowato wśród pięknych zarośli i na wiorstowej długości daje rację bytu aż pięciu młynom! Jakże inaczej wygląda krajobraz na południowy wschód od Nowogródka w kierunku Świtezi.

Lasy tu przed stu laty panowały niemal wyłącznie, „pełne zwierza bory“, drogi wązkie, niełatwe na wiosnę i w jesieni do przebycia, widoki godne Ruysdaela, pełne niespodzianek zachwycających, jak cicha, przeźrocza Świteź, lub parowów, umajonych zielenią, ożywionych stawami, jak w Sinieżycach. Cała droga z Zaosia i Tuhanowicz do Nowogródka, którą Mickiewicz od dzieciństwa i w młodości tylekroć przebył, jest prześliczna, zwłaszcza między Tuhanowiczami a Siohdą (Worończa, Rajce). Student nowogródzki bywał zapewne często z kolegą, Nikodemem Kiersnowskim, w pobliskiej Horodecznej na majówkach, w Zielone Świątki. Z rodziną Kiersnowskich wiązały Mickiewiczów blizkie stosunki. Najstarszego syna Mikołaja Mickiewicza, Franciszka, trzymał do chrztu łowczy nowogrodzki, Walerjan Kiersnowski z Imć panią Rozalję Orzeszkową.

(Dokończenie nastąpi).

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“. Druk W. Korneckiego w Krakowie.